

Wśród zagranicznych książek

Jacek Wojciechowski

Coraz częściej natykam się na mniej lub bardziej naukowo sformułowane pytania oraz wątpliwości dotyczące przyszłości: naukowych dyscyplin, profesji, oraz instytucji – akademickich, bibliotecznych, informacyjnych. Niektóre takie opinie sygnalizowałem już w *ZIN* oraz w *Przeglądzie Bibliotecznym*, ale ciągle napływają nowe. Z tym, że były to i są głównie przypuszczenia, często nieostrożne, a zwykle oparte na zgadywaniu. Ale jak tu nie zgadywać? Pojawiają się wszak z różnych stron sugestie, że wiele zawodów oraz specjalności naukowych przestanie istnieć już za kilka dziesięcioleci lub wcześniej – przynajmniej w ich aktualnej postaci¹.

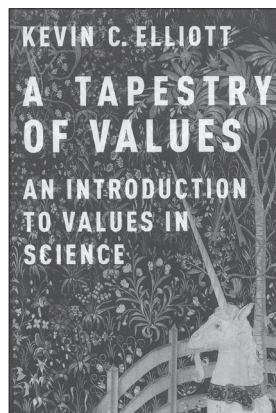
Trzeba zatem rozejrzeć się szerzej. Dlatego tym razem wypatrzyłem publikacje, które zwracają uwagę na ważne aspekty uprawiania nauki (informacji naukowej też) oraz na towarzyszące jej okoliczności i ewentualne skutki. Od refleksji na ten temat nie da się uciec. Ponieważ jednak funkcjonujemy tutaj i teraz, dorzucam jeszcze aktualną propozycję postępowania informacyjno-promocyjnego w praktyce instytucji publicznych. Zresztą taki też jest styk czasu: tego co teraz z tym co być może będzie.

Wartości w nauce [***]

Kevin C. Elliot (2017). *A Tapestry of Values. An Introduction to Values in Science*. New York: Oxford University Press, pp. 208. ISBN 978-0-1902-608-04

Oto rozważania Kevina Elliota na temat wartości w nauce – rzecz jasna nie pierwsze i na pewno nie ostatnie. Ich autor to profesor nadzwyczajny Michigan State University w East Lansing, specjalizujący się w problematyce ochrony środowiska. Dopowiem: niestety. Ponieważ zamiast omówień ogólnych, syntetycznych, zbyt często oraz przesadnie wciska czytelników w szczegółowe zagadnienia swojej dyscypliny. Traktując je nie tylko ilustracyjnie, lecz roztrząsając również merytorycznie, a to całkowicie nie ma związku z sygnalizowanym przez tytuł zakresem referencji.

Elliot powiada, że wartość jest tym, czym trzeba się zająć. Nie sposób zaprzeczyć, ale to jest objaśnienie trywialne, zwłaszcza przy jedynym odróżnieniu, mianowicie od myślenia życzeniowego. Tym bardziej, że poza tym, w kilku jego niezbyt spójnych definicjach, wartości wyglądają raczej na (tylko) **przeświadczenia**, aniżeli na w pełni aksjologicznie objaśniane zjawiska.



¹ W. Czudinowa: Biblioteki na piereputie: prognozy, tendencji, issledowanija. W: *Socjolog i psycholog w bibliotekie* (76–78). T. X. Moskwa: Rossijskaja gosudarstwienaja biblioteka dla mołodziezi, 2016; R. Susskind, D. Susskind: *The Future of the Professions. How the Technology Will Transform the Work of Human Experts*. Oxford: Oxford University Press, 2017, 55–59, 110–111, 221–227, 266–268, 303–304; *The Knowledge Future: Intelligent Policy Choices for Europe 2050* [online]. Brussels: European Commission, [30.06.2018], https://ec.europa.eu/research/foresight/pdf/knowledge_future_2050.pdf, 49–57.

Oraz dopowiada jeszcze, że w nauce mogą przeszkadzać, albo odwrotnie: wspierać postępowanie badawcze – zwłaszcza kiedy pojawia się **konflikt** wartości. Ilustruje to zaś dawno zapomnianą, ale kiedyś w skutkach tragiczną, sprzecznością teorii Nikołaja Wawilowa oraz Trofima Łysenki. Jednak przykład, chociaż trafny, nie ma dzisiaj żadnego sensu, bo kto jeszcze pamięta i wie, o czym mowa, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych? Natomiast ma rację, sugerując, że zakładane w naukowych hipotezach hierarchie wartości wpływają całościowo na postępowanie rozpoznawcze i to nie zawsze jest dobre.

No bo rzeczywiście, akceptowane przez badacza wartości mają wpływ na wszystkie składniki jego postępowania badawczego, muszą zatem być uświadamiane oraz weryfikowane. To bowiem rejestr uznawanych wartości generuje problemy do przeanalizowania oraz określa hierarchie ważności, jak też sugeruje metodologię postępowania, czyli formy dociekań. Tam zaś, gdzie ustalenia i przypuszczenia finalne okazują się niepewne, stosunek do nich także wiąże się z wyznawanymi wartościami. Co więcej: w **każdym** referowaniu wyników dowolnych badań, takie uzależnienia mają miejsce.

Z drugiej strony, grantodawcy, zleceniodawcy oraz odbiorcy sprawozdań, oceniając finalne efekty analiz, również kierują się układami wartości. **Swoimi!** Oczekują zatem stosownej zgodności. Kiedy zaś jej nie ma, powstaje konflikt pomiędzy społecznym oczekiwaniem (to nie to samo, co społeczny pożytek) a kreatywną swobodą badaczy. I bynajmniej nie jest tak, że te społeczne oceny są tolerancyjne i akceptacyjne wobec odmiennych ustaleń badawczych. Przecież cały system ocen punktowych (wskaźniki Hirscha itd.) opiera się na wspólnocie wartościowania, a nie na rozbieżnościach.

Tymczasem nauka wymaga rozstrzygnięć niezależnych i obiektywnych. Zatem sygnalizowany przez Elliota konfliktowy dysonans istnieje rzeczywiście i ma, albo może mieć, dla nauki fatalne skutki. Osobiście tak właśnie (choć nie tylko) kojarzę przyczyny słabości naszych dyscyplin, tj. informacji naukowej oraz bibliotekoznawstwa.

Wygląda to z grubsza tak, że zleceniodawcy analiz przydzielają na realizację środki w trybie konkursowym, czyli oczekując rozwiązania problemów (co rozumiały), ale ważnych według skali wartości, którą kierują się **oni sami**. Społeczeństwo z kolei nie zawsze jest tego samego zdania, toteż dorzuca jeszcze inne wartości – też **swoje**. No i już widać sprzeczność. A poza tym zleceniodawcy wymagają pośpiechu oraz (co dopowiem od siebie) gigantycznej biurokracji i licznych sprawozdań cząstkowych, niezależnie od finalnych. Zarówno te naciski, jak i wtrącanie się w szczegóły procedur to ciemna strona praktyk naukowych, z którą Elliot słusznie pozostaje w niezgodzie. Ale skutecznych sposobów obrony nie widzi. No bo rzeczywiście trudno toczyć spory i boje z tymi, którzy zarządzają kasą.

Natomiast w odniesieniu do samych badań, autor powtarza wyświechtane komunały. A to, że można rozwijać koncepcje już istniejące albo na ich podstawie dociekać prawd mniej lub bardziej nowych. Z tym, że atrybutem wspólnym musi być zawsze staranność postępowania. No więc rzeczywiście, trudno o większe banały i oczywistości.

Natomiast stwierdzenie istotnie ważne jest takie, że badania niekoniecznie doprowadzają do pewności; częściej zwiększają lub redukują prawdopodobieństwo. Co następnie trzeba odpowiednio perswazyjnie zreferować, no i to nie zawsze się udaje.

Publiczność ma bowiem przeświadczenia albo przypuszczenia **swoje**, oparte na **własnych** hierarchiach wartości, od których odstępuje wyjątkowo niechętnie. Dlatego niepewność konkluzyjna, zwłaszcza wzbudzająca kontrowersje, ma zerową siłę przekonywania. Dla badaczy pojawia się zatem dodatkowe a kłopotliwe zadanie. Trzeba mianowicie utrafić w społeczne wartościowanie i zrozumienie, jednak przy zachowaniu **obiektywizmu** sformułowań.

Elliot uważa, że tego rodzaju dysonans poznawczy bierze się z różnic pomiędzy wyznawanymi wartościami. Prawdopodobnie zatem należałoby dookreślić – ale jak ?? – wartości preferowane przez (większość?) potencjalnych adresatów sprawozdań naukowych i ewentualnie dostosować styl przekazu. Unikając jednak tylko **nieporozumień**, a nie **kontrowersji**.

Na takie dictum da się odpowiedzieć: ba! Wszak tak samo, na bliskim nam gruncie komunikacji informacyjnej, wygląda główny i nie do końca rozwiązywalny dylemat transmisyjnej (nie)skuteczności. Elliot niczego w tym zakresie nowego i produktywnego nie dopowiada.

A niektóre jego podpowiedzi i porady uważam wręcz za trywialne. Żeby mianowicie analizować zagadnienia, które są dla społeczeństwa ważne. To znaczy – jakie? Oraz: żeby angażować publiczność do udziału w badaniach, np. historycznych, nuklearnych albo chemicznych? Jakkolwiek sam przyznaje, że kontrowersje są właściwie nie do uniknięcia.

Także w konkluzjach ogólnych potrafi powstrzymać się od banałów. Choćby w kluczowej opinii, że nauka powinna być całkowicie niezależna od wartości, a nie jest. No właśnie! Co zatem należałoby zrobić? W tekście takiej odpowiedzi nie ma.

Jest tylko spostrzeżenie, że logika i matematyka są już z natury od wartościowania wolne. Jedyne? A może znalazłoby się jeszcze kilka takich dyscyplin? Ale z tego nie wynika nic. Chyba, żeby zmatematyzować oraz ulogicznić wszystko.

To nie jest, niestety, opracowanie tak dobre, jak sugerowały liczne opinie wyprzedzające. Za dużo jest w tekście detali oraz powtórzeń, no i wywód nadmiernie wnika w treść przywołanych przykładów, zamiast dostarczyć jedynie ilustracji roztrząsanego problemu głównego. Poza samym zwróceniem uwagi na ambiwalentne skutki przywiązania do odmiennych wartości, produktywność autorskich wywodów nie wydaje mi się wygórowana. A szkoda, bo kwestia jest dla postępowania naukowego bardzo ważna.

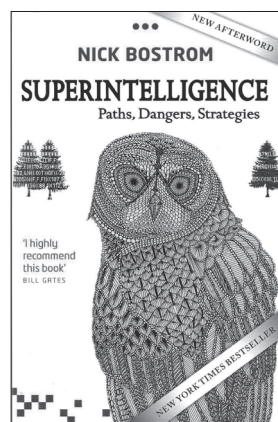
Superinteligencja [****]

Nick Bostrom (2016). *Superintelligence. Paths, Dangers, Strategies*. Oxford: Oxford University Press, pp. 415. ISBN 978-0-19-873938-8

A oto książka z innego obszaru przedmiotowego, traktująca o perspektywach i (nie)możliwościach stworzenia w odległej, lub w nieco bliższej przyszłości, sztucznego bądź hybrydalnego, superinteligentnego konstruktum umysłowego. Ponieważ wywody odnoszą się do wszystkiego, co dotyczy transmisji, odbiorczego przetwarzania, oraz kreacji treści – ich odniesienia do praktyk bibliotecznych, informacyjnych i ogólnokomunikacyjnych są oczywiste. Także do ewentualnych zagrożeń. Dlatego trzeba o nich wiedzieć **koniecznie**.

Autorem jest profesor uniwersytetu w Oksfordzie, **Nick Bostrom**, dyrektor tamtejszego Future of Humanity Institute, oraz (też dyrektor) Strategic Artificial Intelligence Centre, zatem bez wątpienia uznany autorytet **naukowy** w zakresie problemów sztucznej inteligencji. Widzę jednak, że reprezentuje awangardowe i optymistyczne stanowisko wobec możliwości przyszłych rozwiązań, wyraża bowiem opinie jednoznaczne i nadmiernie skrajne. Podobnie wypowiadali się wcześniej R. Kurzweil – znany ze swojej ekscentryczności – oraz E. Yudkovsky, z kolei amator, jakkolwiek głośny². Ale taki kontekst nazwisk chluby nie przynosi. Zwłaszcza, jeśli zerknąć na rejestr sprawowanych przez Bostroma funkcji.

No bo jednak większość psychologów, zwłaszcza zaś neuropsychologów, inaczej postrzega samo zjawisko inteligencji oraz jej komponenty i możliwości *zmechanizowania*³. A jeszcze bardziej ostrożnością wniosków oraz zapowiedzi imponuje prof. **Margaret Boden**, mocno sceptyczna wobec rzeczywistych szans kreacji – a także potencjalnych zagrożeń ze strony tego, co nazywa się sztuczną



² R. Kurzweil: *How to Create a Mind*. New York: Viking Press, 2012; E. Yudkovsky: *Complex Value Systems in Friendly AI*. In: J. Schmidhuber, K.R. Thórisson, M. Looks (eds.), *Artificial General Intelligence*. AGI 2011. Lecture Notes in Computer Science, vol. 6830. Springer, Berlin, Heidelberg, 2011.

³ G. Howard: *Multiple Intelligences: Prelude, Theory and Aftermath*. In: R. Sternberg, S. Fiske, D. Foss (eds.), *Scientists Making a Difference: One Hundred Eminent Behavioral and Brain Scientists Talk About Their Most Important Contributions* (167–170). Cambridge: Cambridge University Press, 2016.

inteligencją⁴. Dlatego, wsłuchując się w sugestie Bostroma, trzeba zachować wobec nich odpowiedni dystans i odrobinę sceptycyzmu.

Bostrom sugeruje, że w warunkach przyspieszonego obecnie rozwoju nasilają się oczekiwania, aby **eksplozja** sztucznej inteligencji przewyższyła rozwój biologiczny. I wprowadzić brak dopowiedzenia, czyje to są oczekiwania oraz skąd o nich wiadomo – ale nie warto czepiać się drobiazgów.

W realizacji tego rodzaju zamierzeń, trudności podobno są ogromne. Jednak jeśli już powstanie superinteligentna maszyna, to na pewno ze wszystkim sobie poradzi. No tak: jeżeli.

Na razie stworzono *konceptę* uczących się maszyn, wspieranych matematycznie, z dodatkowym rozwiązaniem, w postaci reagowania na ludzką mowę. Ale powtórzę, że oto znowu mamy eufemizm: koncepcja. A właśnie wśród takich oto niepewników lawiruje autor, oraz sugeruje, że rozwiązania sztuczne są lepsze od naturalnych – w grach. Po pierwsze: to nieprawda. Jedynie mogą dorównywać i to tylko przy regułach ograniczonych, zamkniętych, jakie obowiązują np. w szachach. Po drugie zaś, cokolwiek powiedzieć (nie uciekając się do metafor), życie jednak nie jest grą.

Autor dopowiada jeszcze, że sztuczna inteligencja przewyższy ludzką o 10% w 2030 r. o 50% w 2050 r., a w 2100 r. aż o 90%. Jednocześnie na stronach 26–30 podważa te zapowiedzi oraz mnoży wątpliwości. Czyżby więc był za, a nawet przeciw? Wygląda na to, że wylicza te daty w oparciu o całkowicie fikcyjne domniemania. I to ma być naukowe podejście? Przyszłoby, że wyjątkowo nie ufam takim felietonowym wywodom.

Tym bardziej, że Bostrom mocuje się nawet z definicjami na poziomie elementarnym. Według niego superinteligencja to taka forma intelektualna, która **zdecydowanie** przewyższa poznawcze możliwości człowieka. Tymczasem równolegle istnieje opinia, że już obecnie ilość treści transmitowanych i odbieranych przerasta możliwość ich przetworzenia⁵. Czy to znaczy, że w pewnych zakresach już osiągnęliśmy poziom superinteligencji?

Sam autor, często przecząc samemu sobie, przechodzi nad tym pytaniem do porządku dziennego. Natomiast rozważa rozmaite założenia wstępne. Po pierwsze: że sztuczny umysł w rozwoju będzie naśladował biologiczny. Wtedy umysł ludzki trzeba będzie *zeskanować* (jak?) z detalami i trójwymiarowo odtworzyć w maszynie sieć neuronów. Jednak dopowiada od razu, że nie widać niezbędnych do tego możliwości technologicznych.

Tak więc inteligentne maszyny mogą jednak nie powstać (choć przez większą część tekstu pisze, że powstaną), natomiast możliwy jest genetyczny rozwój umysłu. Dlatego w innym wariantcie rozważa Bostrom prognozę **biotechnologiczną**, z ingerencjami: genetyczną oraz farmakologiczną – a rozpisaną na kilka pokoleń. Nie wykluczając klonowania osób szczególnie utalentowanych. Otóż mam wrażenie, że wszystko to z nauką ma niewiele wspólnego, bądź nic.

W wariant trzeci zaś wpisuje autor szanse **cyborgizacji**: poprzez wszczepianie do mózgu sztucznych implantów. Ale nie wyjaśnia, jak skonstruowanych, natomiast przyznaje, że takie protezy muszą być standardowo jednakowe, umysły zaś są zindywidualizowane, więc jak to pogodzić? W dodatku istota tego wariantu sprowadza się tylko do przejścia oraz przechowania treści, natomiast ich przetwarzanie już nie wchodzi w grę, a właśnie do tego – w tradycyjnym trybie – jest ich po prostu za dużo. Tak więc, mimo że w opinii Bostroma sztuczny umysł *mógłby* funkcjonować szybciej niż ludzki i na podobnym poziomie jakości, a po zespoleniach współtworzyć inteligencję kolektywną, praktyczne wnioski z tych wypowiedzi wydają się żadne. Aż trudno dać wiarę, że tekst w założeniu miał mieć charakter rozważań naukowych, bo mnie nasuwa skojarzenia z fikcyjną opowieścią *science fiction*.

Autor trzyma się jednak uparcie swojej koncepcji. Jakkolwiek sygnalizuje, że nie wszyscy znawcy jednakowo wierzą, lub nie wierzą wcale, w powodzenie rozwoju sztucznej inteligencji. Sam jednak jest innego zdania i kreśli trzy (znowu trzy?) warianty rozwojowe.

⁴ M. Boden: *AI. Its Nature and Future*. Oxford: Oxford University Press, 2016, 154–158, 163–165, 169.

⁵ O. Resznetnikowa: *Sowremiennyje Internet-połzowatieli: ich osobiennosti i priedpocztienija*. W: *Ru-miancewskieje cztienija* – 17. T.2. Moskwa: Paszkow dom, 2017, 92.

Najmniej prawdopodobna – jak powiada – jest implementacja rychła i **szybka**, no bo nawet nie ma jeszcze jej załączków. Byłaby natomiast szczególnie pożądana, bo narzuciłaby (czy na pewno?) tylko jeden kierunek rozwoju, umożliwiając odtąd współdziałanie w tym zakresie w skali globalnej. A w jednolitych okolicznościach, sztuczne urzędzenia sprawdzają się najlepiej.

Rozpisany z kolei na lata wariant **umiarkowany** musiałby zmierzyć się z turbulencjami o charakterze społecznym, ekonomicznym oraz politycznym, bez gwarancji powodzenia. Dlatego Bostrom preferuje – w wersji trzeciej – **powolne** wdrażanie zmian rozwojowych, rozpisane na dekady lub nawet stulecia, po stosownym przygotowaniu. Ale nie sypie konkretami. Jak też nie odnosi się do, sugerowanych wcześniej, przewyższeń ludzkiego umysłu przez inteligencję sztuczną. Zupełnie tak, jakby to nie on, w **swojej** książce, napisał był.

Całość tych roztrząsań sprawia więc wrażenie sloganiarstwa oraz niespójności. Jakkolwiek wypada zgodzić się, że **jakieś** modyfikacje – także automatyzacyjne – są nieuchronne. Ale trzeba je najpierw wykreować teoretycznie, jednakże konkretnie, a dopiero potem lansować i wprowadzać w życie. Zatem stosowne pytania są nieodmienne od lat: **jak** to robić i konkretnie co. Owszem, rozmaitych sugestii, przepowiadających mechanizację myślenia – i tym samym kres naturalnej inteligencji, komunikacji, informacji oraz bibliotekarstwa – jest mnóstwo i stale pojawiają się nowe, ale to są produkty bezmyślne i amatorskie, które trudno łączyć akurat z **tym** autorem. A jednak jest mi bliższy (w tej książce) aniżeli innym wypowiedziom naukowym.

Dalsze rozważania Bostroma, na wtórnym poziomie skutkowym, są już bardziej racjonalne, chociaż także nie brak im słabości. Twierdzi mianowicie, że automatyzacja na razie przynosi więcej zysków niż szkód – jednak na jakim poziomie realizowana? Jest też stosunkowo bezpieczna, zatem przy dobrym zaprogramowaniu byłaby wysoce pożyteczna, nawet w rozległej skali implementacyjnej. No więc znowu mamy ogólnik, w dodatku niezwłocznie podany w wątpliwość.

W takim oto sformułowaniu, że nie są wykluczone zagrożenia: gdyby automatyzacja wymknęła się spod kontroli lub celowo została źle opracowana. Jakkolwiek (to opinia Bostroma) trudno uwierzyć (wiara to nie jest kategoria naukowa), żeby sama z siebie przejęła pozaludzkie cele. Otóż autor raz pisze tak właśnie, lecz innym razem odwrotnie i cały wywód jest chwiejny

Nawet kiedy przedstawia stwierdzenie racjonalne. Takie oto, że automatyzacja nie *musi* objąć całego życia, oraz że wymaga ludzkiego nadzoru. Ale zaraz potem dodaje, że nie *musi* – ale początkowo. Następnie pisze, że jednak ten nadzór *musi* być realizowany stale i w skali globalnej. Ale potem jest również uwaga, że układy zautomatyzowane mogą wyłamać się spod ludzkiej kontroli i rozwijać samoczynnie. No to w sumie jak? Tak nie wolno konstruować rozważań (podobno naukowych, na tematy w końcu zasadnicze!

Owszem, Bostrom sygnalizuje złożoność problemów, ale w komentarzach zbyt często zdaje się na *chciejstwo*. W rzeczywistości natomiast automatyzacja procesów oraz procedur intelektualnych i komunikacyjnych – dla jego prognoz kluczowa – nie może być całkowicie dowolna, ale z drugiej strony: nie powinna hamować rozwoju. I na tym polega podstawowy dylemat.

Autor dopowiada jeszcze, że maszynom trzeba narzucić kryteria **wartości** – jedno do zaakceptowania, inne zaś do oddalenia. Ale nie wiadomo jakie w ogólności (ludzkie?), ani które z nich. Tym bardziej więc nie wiadomo, jak miałyby funkcjonować.

Jednak *jakieś* wartości kierunkujące trzeba narzucić, bo maszyna nie wytworzy ich ani nie wybierze sama. Wobec tego *czyje* mają to być wartości – kto miałby prawo wyboru? Sugestia w tekście jest taka, żeby proponowany wstępnie rejestr wartości poddać pod publiczny osąd (to niewykonalne), albo odwołać się do opinii osób dorosłych, żyjących w okresie kreowania sztucznej inteligencji. Nie widzę różnicy. Ponieważ to też niekoniecznie jest wykonalne, a na dodatek wysoce arbitralne.

Tu znowu zwrócę uwagę, że w istocie mowa jest o szeroko pojmowanej **informacji** oraz o jej przetwarzaniu. Z dopisaniem mocno podejrzanego – przynajmniej w takiej formule – kryterium wartości. Natomiast nie ma odniesienia do, ważnych dla informacji, kategorii pożytku i zwłaszcza **prawdziwości**. Trudno więc przyjąć ten wywód bez dyskusji oraz bez oporów.

Najciekawsza i rzeczywiście warta refleksji jest końcowa część tej książki, w której Bostrom rozważa ogólne pożytki oraz ograniczenia wynikające z nieuchronnych (jego zdaniem) zmian robotyzacyjno-mentalnych. Twierdzi otóż, że superinteligencja (cokolwiek to jest) powinna zredukować zło, pochodzące z natury, ale też sama może zło wygenerować na podłożu technologicznym. W grę wchodzi więc już to ułatwienie albo komplikacja życia. Chociaż ryzyko jakiegokolwiek ogromnej, a wygenerowanej technologicznie, katastrofy wydaje mu się znikome. Zwłaszcza przy rozumnym postępowaniu i ewentualnie spowolnionym rozwoju, z rezerwą czasu na zabezpieczenie. Wtedy zagrożenia uda się zredukować, lub nawet wyeliminować całkowicie.

Natomiast nie ma jednego, uniwersalnego regulatora rozwoju. Nie są też skuteczne cząstkowe, indywidualne, wąskozakresowe próby regulacji. Trzeba dopracować się **szeregu** sposobów, jakkolwiek wspólnych w skali międzynarodowej, żeby pożytki były powszechne. Tyle, że z kolei im rozleglejsza jest kooperacja, tym bardziej rośnie ryzyko rywalizacji zlej...

No i znowu może to wyglądać tak, jakby Bostrom sam sobie przeczył, ale ja tego w ten sposób nie odbieram. Przeciwnie: akurat ten fragment jego wypowiedzi uważam w całej książce za najważniejszy, ponieważ porzuca mity i próbuje przejść do konkretów. Bo sygnalizuje też, że koszty rozwoju automatyzacyjnego przewyższają możliwości jakiegokolwiek **jednego** kraju i stąd wynika konieczność międzynarodowej współpracy. Dlatego realne oraz bezpieczne i optymalne koncepcje rozwojowe muszą być wypracowane wspólnie.

Mimo że przy rozmnożeniu koncepcjonistów i realizatorów zawsze (zdaniem Bostroma) może trafić się idiota, który wszystko popsuje. Bowiem w obliczu pracy nad przyszłością, jesteśmy jak dzieci majstrujące przy bombie. Ale jak widać, w życiowej praktyce bomby są jednak przeważnie **podporządkowane** ludziom.

Co jednak z tej – w sumie ambiwalentnie ocenionej – książki miałyby wynikać dla obszarów wiedzy informatologicznej oraz bibliotekoznawczej? Myślę, że kilka istotnych podpowiedzi.

Nie ulega otóż wątpliwości, że będzie miał miejsce dalszy postęp technologiczny i automatyzacyjny, który musi *trochę* (lub bardziej) zmienić procesy informacyjne oraz biblioteczne. Jednak nie dokona się sam, trzeba więc nad nim popracować, ukierunkować, a potem panować. Potrzebny jest zatem stały udział czynnika ludzkiego i to na wysokim poziomie kwalifikacji, bo samorozwój robotyzacyjny (w który osobiście nie wierzę) niczego pewnego nie gwarantuje. I o tym Bostrom również napomyka, kreśląc swoje wizje rozwoju.

Ewentualne pożytki z takiej wizji rozwoju **dla nas** dostrzegam w automatyzacji elementarnych i prosto złożonych procesów bibliotecznych, ale przy wzmożeniu intelektualnego udziału i wkładu bibliotekarzy. Natomiast widzę też **zagrożenie** dla całej strefy transmisji **informacji**, a co najmniej istotne obniżenie jakościowych standardów w jej obiegu, jeżeli nie odstąpi się od bezrefleksyjnego aplauzu dla mechanistycznych koncepcji tej dziedziny życia, który ostatnio wyraźnie daje o sobie znać. Trzeba bronić się koncepcyjnie, naukowo oraz praktycznie. Co lektura tej książki, być może na przekór autorskiej intencji, uświadamia.

Z redukcji czynnika ludzkiego na rzecz robotyzacji, generują się – pochopne, ale lansowane – zapowiedzi rychłego (do 30 lat) zaniku wielu humanistycznych profesji. W tym wszystkich (?), które mieszczą się w obszarze INB⁶.

Podobnych wypowiedzi jest dużo, natomiast dowody są nieodmiennie nijakie. Zatem żadna tego rodzaju **nieuchronność** nie istnieje. Pora więc pokierować naszym prospektywnym myśleniem w taki sposób, żeby produktywnie i bezpiecznie usytuować koncepcje bibliotekarstwa oraz usług informacyjnych pomiędzy częściową automatyzacją, a ludzkim działaniem wykonawczym i (w pełni) nadzorczym. Z dostosowaniem do rzeczywiście postępujących, zewnętrznych zmian rozwojowych.

⁶ W. Czudinowa, 2016, 76–78; R. Susskind, D. Susskind, 2017, 30–45; *The Knowledge Future...*, 5–6, 38–41, 45–47.

Piar to informacja [***]

Peter Kubica (2017). *KomuNICKuj alebo o marketingu, médiách a modernej komunikácii*. Martin: Matica Slovenská, pp. 66. ISBN 978-80-8128-177-8

W rozważaniach naukowych **informacja** występuje jako zobiektywizowany (w zasadzie) konstrukt treściowy, odbierany – też w zasadzie – literalnie, jednoznacznie, według nadawczych intencji. W rzeczywistości jednak nie zawsze tak jest i zwłaszcza informacje *perswazyjne* takich warunków nie spełniają.

W szczególności: jeżeli serwują treści reklamowe, marketingowe oraz piarowe (od PiAr – Public Relations), które nie uciekając się do nieprawdy (bo wtedy nie byłyby informacjami), mają jednak intencje **także** pozareferencjalne, mianowicie nakłaniające i motywujące. Otóż w nawiązaniu do takiej właśnie informacyjnej perswazji (albo informacji perswazyjnej), Matica Slovenska w Martinie wydała marketingowo-piarowy poradnik, wiążąc transmitowane treści z wizerunkiem instytucji nadawczych, głównie publicznych, samorządowych i kulturalnych. Nawet jeśli nie odkrywczy, to w sumie interesujący. Dawno takiego nie było.

Autorskie założenie wstępne jest takie, że przy szeroko rozlanej wirtualności komunikacyjnej, to właśnie ją głównie trzeba wykorzystać do transmisji swoich treści promocyjnych. Nie tylko **tworząc** stosowne komunikaty, lecz również **aktualizując** je sukcesywnie, zmieniając bądź usuwając – kiedy tracą aktualność, a zatem i sens. Przy takim warunku, najlepszym środkiem transmisji (twierdzi autor) są przede wszystkim publiczne media lokalne, bo łatwiej dostępne nadawcom i bliskie odbiorcom. Do ewentualnych transponderów Kubica dodaje również prasę lokalną, lecz bez przekonania i wiary w skuteczność, czyli z czystej kurtuazji. Ale myślę, że z tą wstrzemięźliwością przesadza. Widocznie, jak wielu teraz średniolatków, jest również nadmiernie podatny na elektroniczne szaleństwo.

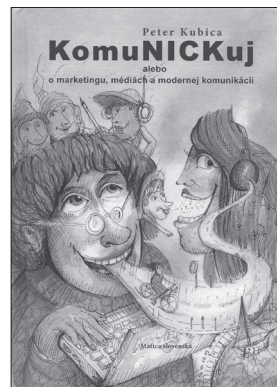
Ogólnie natomiast sugeruje, że efektywnie może istnieć tylko ta instytucja, organizacja, firma, jednostka, która potrafi skutecznie powiadomić o sobie w medialno-prasowej przestrzeni. Bez takiej informacji, tam zlokalizowanej, pomyślna egzystencja jest na dłuższą metę mało prawdopodobna. No i ta informacja musi być nie tylko prawdziwa, użyteczna i aktualna, lecz w dodatku skonstruowana w taki sposób, żeby spotkała się z dobrym przyjęciem odbiorców i lansowała korzystny wizerunek nadawcy. Który kreuje się z trudem, natomiast traci łatwo i z byle powodu.

Autor wysnuwa z tego wniosek taki, że każdej instytucji, a nawet jednostce nie w pełni samodzielnej – dopowiem więc, że również bibliotece lub agencji informacyjnej – potrzebny jest przygotowany pracownik, który przynajmniej w części swoich obowiązków wyspecjalizuje się w zakresie promocji, piaru oraz marketingu. A z tym jest rozmaicie. Im mniej komercyjny charakter ma organizacja, tym niższa jej dbałość o wizerunek. No i rzeczywiście widać to w wielu jednostkach samorządowych, publicznych, kulturalnych, oraz – co stwierdzam z przykrością – również bibliotecznych.

Dopóki Kubica porusza się w rejestrze akcesoriów promocyjno-informacyjnych, jego opinie są produktywne. Kiedy jednak próbuje uogólnień, wyraźnie zaczyna zawracać głowę. Widocznie syntezy to nie jego działka.

Przykład? Proszę bardzo. Oto konstruuje całodzienny *portret* (ideogram?) konsumenta informacji publicznych i użytkowych. Rano wiadomości z radia (w tramwaju lub na rowerze?), w ciągu dnia internetowe – wraz z gazetami online – wieczorem zaś telewizyjne. Jednak żadnego dowodu nie ma. Zmyślił sobie to wszystko, bo ładnie wygląda, ale do prawdy dalej niż na Księżyc. Więc na marginesie: tak często wyglądają opinie o obiegu treści, informacji, książek – wysysane z palca, podsłuchane w łaźni, obejrzone na ekranie telefonicznym.

Mam też inne zastrzeżenie. Zawarte w tej książce sugestie ponad wszelką wątpliwość odnoszą się także do bibliotek, jednak takie słowo (słowac. *knížnica*) nie pada w tekście ani raz. Niewykluczone,



iż autor – i nie tylko on – nie ma pojęcia, że coś takiego istnieje. Trudno. Ale wydawcą i płatnikiem honorarium jest wszak szerokoprofilowa słowacka Biblioteka Narodowa. Mogłaby zatem narzucić elementarne wymagania treściowe, bądź nawet dodać komentarz współautorski. Chyba, że w tamtejszym dziale wydawnictw również...

Kubica wylicza niezbędne warunki skutecznego informowania promocyjnego. Otóż konieczna jest prawdziwość powiadomienia, ale także klarowność i zrozumiałość, co w sumie składa się na łatwą przyswajalność. Komunikatom perswazyjnym pomagają też oryginalne (byle nie dziwaczne lub powikłane) sposoby referencji, z dobrymi dowcipami włącznie, a tam, gdzie możliwe – jeszcze naddania muzyczne. Dopiero kiedy uwzględni się te wszystkie sugestie **razem**, informacja promocyjna może być w pełni profesjonalna, czyli skuteczna.

W odrębnym komentarzu autor powiada, że słabością informacji drukowanej jest szybka dezaktualizacja treści (bez przesady: to przecież zależy o czym), podczas gdy reakcje nadawców oraz wymiany zawartości nie są dostatecznie szybkie. Zresztą jest również krytyczny wobec oferty telewizyjnej, uznając ją za mieszany *infotainment* – co i u nas zauważono⁷ – czyli półprodukt informacyjno-rozrywkowy. Stąd propozycja, żeby promocyjne powiadomienia, w różnorodnej formie dla różnych odbiorców, rozdzielać pomiędzy media tradycyjne (dla odbiorców starszych) i nowe (dla adresatów młodszych).

Natomiast, jak to dzisiaj jest w zwyczaju, Kubica zachwala rozmaite promocyjne *nowinki*, wierząc w ich wysoką skuteczność, chociaż (znowu) żadnego dowodu nie przywołuje. Podpowiada więc implementację anonsów na platformach społecznościowych – co rzeczywiście warto robić, jakkolwiek są już liczne głosy, negujące skuteczność tej formy w odniesieniu do informacji pogłębionych, piśmiennictwa lub ofert bibliotecznych. Wierzy też w efektywność wideoblogów, ze względu na ich wielosemiotyczny charakter, ale przecież wytwarzanie ich wymaga umiejętności w pełni profesjonalnych – tak jak i (zalecanych w tekście) lokalnych Wikipedii. Poza tym ryzyko niepowodzenia jest znaczne, bowiem (jak przynajmniej) po wprowadzeniu do Sieci wszystko zaczyna żyć swoim własnym życiem. A ponadto wychwala jeszcze transmisję treści promocyjnych przez SMS-y, po zarejestrowaniu adresatów, ale w tym wypadku wykonawstwo jest jeszcze trudniejsze.

W praktyce zatem instytucjonalny piar wymaga podejścia w pełni zawodowego, a w dużych instytucjach i firmach – wręcz autonomicznego i dobrze przygotowanego specjalisty. Co w największych bibliotekach lub ośrodkach informacji (to moja opinia) nie musi być wykluczone. Ale jednak jest.

Nie do podważenia jest przy tym wniosek ogólny. Jeśli chcesz skutecznie świadczyć usługi, także biblioteczne oraz/lub informacyjne, to nie dasz sobie z tym rady bez odpowiedniego, wyprzedzającego przygotowania przez powiadomienia promocyjne. Takie to są czasy. I pod tym względem Kubica ma rację.

Nadestano: 13 listopada 2017

⁷ O. Leszczak, S. Leszczak: *Infotainment: informacja – rozrywka – manipulacje (stereotypy kulturowe i językowe społeczeństwa informacyjno-konsumpcyjnego)*. W: J. Dzieniakowska (red.), *Książka, biblioteka, informacja. Między podziałami a wspólnotą* (447–761). Kielce: Wydaw. Akademii Świętokrzyskiej 2007.